

Wiktor Hagen

DELOGI WEEKEND

W
ab
ydawnie
two

MRO CZNA SERIA





ROBERT NEM-HAUSER

KOMISARZ WARSZAWSKIEJ POLICJI

- URODZONY W 1973 ROKU
- MAGISTER HISTORII NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM
- OD 2000 ROKU ZATRUDNIONY W KOMENDZIE STOLECZNEJ POLICJI W WYDZIALE ŚLED CZYM
- ZASŁYNAŁ ROZWIĄZANIEM SPRAWY POZORNIE NIEZWIĄZANYCH ZE SOBĄ MORDERSTW, OPISANEJ PRZEZ WIKTORA HAGENA W POWIEŚCI KRYMINALNEJ

GRANATOWA KREW

- ŻONATY, OJCIEC DWÓJKI DZIECI
- DORABIA W WEEKENDY JAKO KUCHARZ



WIKTOR HAGEN

TAJEMNICZY AUTOR

KRYMINAŁU **GRANATOWA KREW** (W.A.B. 2010),
URODZIŁ SIĘ NA POCZĄTKU LAT SIEDEMDZIESIĄTYCH
W POLSCE. MATKA BYŁA POLKĄ, OJCIEC FRANCUZEM.
PIERWSZE LATA ŻYCIA SPĘDZIŁ W KRAJACH ARABSKICH:
JEGO OJCIEC WYKŁADAŁ HISTORIĘ NA UNIWERSYTECIE
W KAIRZE, ZAŚ W ALEPPO PROWADZIŁ BADANIA
NAD HISTORIĄ MIASTA. HAGEN MIESZKAŁ NA ZMIANĘ
WE FRANCJI I W POLSCE. STUDIOWAŁ ANTROPOLOGIĘ
KULTURY NA UNIWERSYTECIE W AIX-EN-PROVENCE.
PO UKOŃCZENIU STUDIÓW POMAGAŁ PRZYJACIELOWI
PROWADZIĆ RESTAURACJĘ W PARYŻU. SPĘDZIŁ KILKA
MIESIĘCY W INDIACH, KRĘCĄC FILMY DOKUMENTALNE
I ROBIĄC ZDJĘCIA DLA POLSKICH I ZAGRANICZNYCH PISM
ILUSTROWANYCH. PASJONAT GOTOWANIA W RÓŻNYCH
STYLACH ORAZ FOTOGRAFII. Z PRZEKONANIA
ALTERGLOBALISTA, DOMATOR I ZAPALONY PODRÓŻNIK,
NIEUSTANNIE STARA SIĘ POGODZIĆ TE SPRZECZNOŚCI.
INTERESUJE SIĘ PSYCHOLOGIĄ, HISTORIĄ JEDZENIA,
HISTORIĄ ZBRODNI, LUBI TAKŻE LITERATURĘ DZIECIĘCĄ.
NA STAŁE MIESZKA W POLSCE.

Wiktor Hagen

**DŁUGI
WEEKEND**

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011
Wydanie I
Warszawa 2011

I

Zaskoczył go ten telefon dzwoniący rozpaczliwie z samego rana. Nie pamiętał, gdzie położył aparat, więc przerzucił poduszki i wreszcie znalazł go pod łóżkiem. Odebrał, nie spojrzawszy, kto dzwoni.

Nie widział jej od lat, właściwie dziesięcioleci, i kiedy zaczęła mówić, na początku nie poznał głosu.

– Cześć, tu Dorota, znalazłbyś dla mnie chwilę?

Zamarł z Metodym pod pachą, starając się bezgłośnie nakłonić Cyryla, żeby przestał bić brata misiem po głowie. Metody wrzeszczał, Cyryl zresztą też i Nemhauser pomyślał po raz tysięczny, że za chwilę oszaleje.

– Dorota – powiedział i zagubiony powtórzył niepotrzebnie: – Dorota.

– Tak, i słuchaj, to w miarę pilne. Nie chciałabym cię pognagłać, ale wiesz... Muszę się z tobą zobaczyć. Po prostu muszę.

– No jasne – powiedział, niosąc Metodego do kuchni i starając się utrzymać komórkę między uchem a ramieniem. Nie miał pojęcia, jaka Dorota.

Krzyki bliźniaków musiały chyba dojść do uszu jego rozmówczyni, bo nagle przestała mówić.

– Słuchaj, to chyba niedobry moment, jesteś pewnie zajęty. To co? Może jutro? Znalazłbyś chwilę czasu?

- Hmmm – powiedział, nie bardzo wiedząc, co robić.
- Może w naszym dawnym miejscu? – zaproponowała.
- Nie, nie – zaprotestował trochę zbyt gwałtownie. Nie chciał się kompromitować i dopytywać, co to za dawne miejsce. – Może gdzieś na mieście?
- Wiesz co, najlepiej będzie, jeśli wpadniesz do mnie – zdecydowała po chwili milczenia. – Przeprowadziłam się za miasto, do Konstancina. Właściwie pod Konstancin, ale na jedno wychodzi. Mogę przysłać po ciebie samochód.
- Samochód?
- Kierowcę, żebyś się nie zgubił – potwierdziła.
- Ach, kierowcę – parsknął, sądząc, że żartuje.
- Może podjechać około osiemnastej? Będziesz już po pracy?
- Mruknął coś niewyraźnie, co wzięła za potwierdzenie.
- Świetnie – ucieszyła się.
- Trafię sam, daj adres – mruknął, sadzając bliźniaki po przeciwnych stronach stołu i grożąc palcem, kiedy Cyryl wystrzelił czekoladowymi płatkami w stronę Metodego.
- Czarnów, ulica Jałowcowa 1. Ale naprawdę będzie ci trudno. To las, żadna ulica, nawet nazwa nigdzie nie wisi. Przyślę po ciebie Macieja. Pod ambasadą chińską? Może być?
- Dobra, do zobaczenia – zakończył.
- Spojrzał na kawałek serwetki, na którym zanotował adres. Świetnie, jutro po południu widzę się z kobietą, o której nie wiem nic, w sprawie, o której też nic nie wiem.
- Co tam mruyczysz? – Paula wyjrzała z łazienki. – Dzwonił ktoś?
- Nemhauser westchnął. Mógł być pewien słuchu absolutnego swojej żony. Gdyby chciał ją kiedyś zdradzić, nie

miałby żadnych szans. Wiedziałyby o zdradzie i kobiecie, z którą ją zdradza, szybciej i więcej od niego.

Streszczał jej rozmowę, obserwując, jak otwiera coraz szerzej oczy.

– Jedziesz jutro do jakiejś babki i nie wiesz po co? – zapytała powoli.

– Nie, no – zaczął i umilkł.

Pomyślał, że to nie najlepsza chwila, żeby zaczynać awanturę. Paula, odkąd miesiąc wcześniej dostała propozycję pracy w Bellaqua, olbrzymiej firmie handlującej żywnością, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Firma zaprosiła ją i pozostałych dwóch kandydatów do Amsterdamu, gdzie mieli spędzić kilka dni, walcząc ze sobą o posadę. Wyjazd miał nastąpić za chwilę i Paula zadręczała się – ale jak cicho uważał, głównie jego – rozważaniami, co może wydarzyć się na miejscu. Była jak chodząca bomba zegarowa i Nemhauser najchętniej schodził jej z drogi pod byle pretekstem. Jutrzejszy wyjazd był właściwie też ucieczką z domu. Przecież mógł przełożyć spotkanie, wymówić się wyjazdem na długi weekend, ale skwapliwie się zgodził i przyjął zaproszenie od dawnej dobrej znajomej, której w ogóle nie kojarzył.

– Urwiesz się z domu i ja zostanę z tym wszystkim na głowie. – Wskazała nieokreślonym gestem bliźniaki obrzucające się resztkami purée, zachlapany jedzeniem obrus i stos naczyń w zlewie. – Czy to daleko?

– Daleko? – Z początku nie zrozumiał.

– No, czy ta kobieta daleko mieszka.

– W... zająknął się, chcąc powiedzieć: w lesie, i zrozumiałwszy ewentualne następstwa tej informacji, trochę za szybko dokończył: – W centrum.

– Dobrze i to, ale błagam, nie siedź długo.

Pokiwał głową i ruszył zabrać bliźniakom talerze.
I wtedy sobie przypomniał. No jasne. Dorota.

2

Drobna szatynka, którą spotkał na zajęciach z historii starożytnego Rzymu. Wpadł spóźniony i zajął ostatnie wolne miejsce. Z początku nie zauważył, że obok siedzi ona. Dopiero po kilkunastu minutach, kiedy trąciła go w bok i podała zwiniętą kartkę, podniósł wzrok znad notatnika. Rozprostował ją ostrożnie, spodziewając się znaleźć tam nie wiadomo co. Zobaczył ciąg rysunków i dopiero po chwili zorientował się, że kartka obiegiła salę dookoła i każdy dorysowywał kolejną scenkę, której bohaterem miał być wykładowca. Nemhauser bez chwili zastanowienia narysował go w kostiumie Batmana spadającego na uniwersytet. Dorota zajrzała mu przez ramię i cicho się zaśmiała.

On studiował historię, ona archeologię i tylko na jedne zajęcia chodzili wspólnie. Nemhauser wiedział, że kochała się w niej połowa chłopaków z roku. Zadarty nos, figlarne dołeczki w policzkach, kiedy się śmiała. Słyszał, że pochodziła z dobrego domu, rodzice byli ustawieni, a Dorota co roku jeździła na zagraniczne wakacje i miała własne mieszkanie, co wtedy dla niego i jego kolegów było abstrakcją. Po pierwszym roku kontakt trochę się urwał, chodzili na różne zajęcia w różnych grupach, ale jak przez mgłę przypomniał sobie, że rzeczywiście, bywali kilkanaście razy większą grupą w Harendzie, pubie na tyłach

uniwersytetu, i pewnie właśnie to miała na myśli, mówiąc o ich miejscu.

Ale czego właściwie od niego chciała? Zirytował się. Powinien ją zapytać, o co właściwie chodzi, a nie po prostu zgodzić się na spotkanie. I to w dodatku gdzie, na jakimś zadupiu. Odetchnął głęboko. Znowu się wpakował.

Wrócił do kuchni, żeby dokończyć obiad. Dziś miała być zupa fasolowa, a on oczywiście zapomniał namoczyć fasolę na noc i teraz usiłował to nadrobić dłuższym gotowaniem. Spróbował wyłowić z zupy kolejną fasolkę, ale ta też okazała się twarda. Tym razem postawił na wersję meksykańską. Zamiast boczku czy wędzonki użył hiszpańskiej ostrej kiełbaski chorizo, którą podsmażył z cebulką i czosnkiem. Dołożył pomidora, którego potem zmiksował z częścią fasoli, drobno pokrojonych kartofelków i ziół i teraz był ciekaw rezultatu.

Wyłowił kolejną fasolkę, ale ta również nie dawała nadziei na to, że zupa będzie gotowa wcześniej niż za godzinę. Na szczęście bliźniaki najadły się płatkami i purée, Paula szukała czegoś w szafie, a poza tym od tygodnia nic nie jadła, a przynajmniej Nemhauser miał takie wrażenie i podejrzewał, że odchudza się na wyjazd, czemu ona uparcie zaprzeczała, twierdząc, że po prostu nie ma apetytu.

Kiedy położyli już dzieci spać, Nemhauser ciężko padł na fotel.

– Nie opowiadałeś, co się działo w pracy. – Paula usiadła naprzeciwko i wzięła go za rękę.

Potrząsnął zniechęcony głową.

– Nic. Kompletnie nic. Szykuje się exodus.

Spojrziała na niego zdziwiona. Roześmiał się.

– Nie ten biblijny, tamten był jeszcze do ogarnięcia. Nie, nie. Zwykły exodus długoweekendowy. Konsul obiecał, że puści nas na urlop, jeśli przeczyścimy szafę.

– Wyczyścicie?

– Nie. Przeczyścimy. Czyli przeniesiemy wszystkie teczki z kupki „do zrobienia”, do kupki „zrobione”.

– Hmm, to nie wydaje się skomplikowane.

– Rzeczywiście. Gdyby trzeba było tylko przenieść. No ale jeszcze trzeba wyjaśnić, wypełnić, czasem przesłuchać. Zgroza. Ale jak wiadomo, osiołek szybciej biegnie, jeśli widzi marchewkę. Czy ty wiesz, że nawet Mario z tej okazji zaczął szybciej pisać na komputerze?

– Serio? – Paula podniosła zdumiona brwi. Mario, partner Nemhausera, nie znosił komputera. Komputer odwzajemniał tę niechęć, zawieszając się albo wyłączając przed końcem pracy i zjadając świeżo napisany raport.

– Nie poznaję go. Perspektywa wyjazdu na długi weekend z narzeczoną zmieniła go nie do poznania. Czy ty wiesz, że nawet teraz siedzi w pracy i wypełnia to wszystko?

– Jakoś go specjalnie nie żałuję, kiedy sobie wyobrażę, jak wyjeżdża z Andżelą na ten urlop. – Paula zakrzuszyła się herbatą. – A gdzie jedzie?

– Chyba do Kazimierza. – Nemhauser wzruszył ramionami. – No wiesz, nocne życie i te rzeczy.

– Zwłaszcza te rzeczy. – Paula uśmiechnęła się, przypominając sobie Andżelę, od niedawna oficjalną narzeczoną Maria, która wyglądała tak, jakby startowała w konkursie na sobowtórkę Dody, a kto wie, może nawet ten konkurs wygrała. – Sama bym na nią poleciała. Przynajmniej do chwili kiedy zacznie mówić. Szkoda, że nie damy rady wyjechać.

– Zdarza się. – Nemhauser nalał sobie jeszcze earl greya z dzbanuszka i sięgnął po cukier. – Zresztą nieduża strata. Kiedy sobie przypomnę, co przeżyliśmy w zeszłym roku w długi weekend nad jeziorem... Pamiętasz tą straszną babę?

Pojechali do szeroko reklamowanego gospodarstwa agroturystycznego na Mazurach, zachwalanego też przez znajomą Pauli.

„Położony nad potokiem domek jak ze snu, dwa kroki od jeziora” okazał się gierkowską kostką oddaloną o pół kilometra od wątej, mulistej rzeczki, wpadającej trzy kilometry dalej do brudnego jeziora zapełnionego motorówkami. W dodatku strumyk był zanieczyszczony i nie można było w nim zamoczyć nawet nogi, o czym powiedziała im miejscowa kobieta i na dowód zdjęła but i pończochę, by pokazać im stopę pokrytą wypryskami. Skarżyła się, że w ośrodku zdrowia ją lekceważą i zapisali ją na wizytę za miesiąc, a przecież Bóg wie, co przez miesiąc może się z tą nogą stać. Nemhauser szybko przyznał jej rację, mając nadzieję, że kobieta włoży buty, ta jednak, zachęcona sukcesem, gadała przez cały czas o miejscowej fabryce, która zatruwa rzekę i miejscowych od kilku lat, płynnie przeszła do oskarżeń, że za komuny to by tak być nie mogło i ktoś by się jej nogą zajął, ale teraz wszystko rozprzedane obcym, fabryczką rządzi jakiś Włoch, a z takim to nie idzie się w ogóle dogadać.

Uciekli wreszcie do swojego pokoju, w którym stały cztery identyczne, smutne i tanie sosnowe łóżka zajmujące przestrzeń od ściany do ściany. Usiłowali wymyślić, co można by tu robić. Tymczasem zaczęło padać i Nemhauser błogosławił Paulę, że zmusiła go do zabrania laptopa, na

którym bliźniaki oglądały bajki, a oni, leżąc na swoich łóżkach, czytali gazety, które udało im się kupić po drodze.

Czary goryczy dopełniła pani Tereska, właścicielka, która zapytana o pralkę, powiedziała, że chyba nie wyobrażają sobie, że każdy, kto przyjedzie na weekend, nawet ten długi, pięciodniowy, będzie sobie u niej prał. Przecież ona nie prowadzi pralni, tylko eleganckie gospodarstwo z wygodami i dużo ludzi z Warszawy zamawia sobie u niej miejsce pół roku wcześniej, ale to ludzie na poziomie, którzy piorą w domu.

To ostatnie zirytowało Nemhausera, ale Paula odciągnęła go na bok i wytłumaczyła, że dadzą sobie radę, wysuszą spodnie chłopców na kaloryferze i jakoś to będzie. Rzeczywiście jakoś to było, chociaż kaloryfer okazał się zimny, mimo że na zewnątrz się ochłodziło i było najwyżej piętnaście stopni. Do dziś chrzęściły mu w ustach słynne litewskie pierogi pani Tereski, tak zachwalane przez znajomych, którzy polecili im ten dom – według niego po prostu kupione w hurtowni, oraz prawdziwe mazurskie kotlety, w których – co stwierdził jako fachowiec – zawartość bułki sięgała osiemdziesięciu procent i już filozoficznie zaczął się zastanawiać nad składem innych mazurskich produktów. Wcale się nie zdziwił, kiedy w zajeździe nad jeziorem, gdzie mieli ochotę zjeść smażoną rybę, zaproponowano im filety z pangi, dorady lub morszczuka. Kelnerka zdziwiła się, kiedy zapytał, czy jest jakaś świeża ryba, i powiedziała, że przecież panga wszystkim smakuje, a świeżych nie ma, bo skąd wziąć. Wskazał za okno na jezioro, ale rozwiła jego nadzieję, mówiąc, że nikomu nie opłaca się przecież łowić, a wietnamska panga jest naprawdę smaczna.

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Katarzyna Pawłowska
Korekta: Monika Baranowska, Małgorzata Denys
Redakcja techniczna: Paulina Potrykus-Woźniak

Projekt okładki, stron tytułowych i grafika na skrzydełku:

Szymon Wójciak

Projekt logo serii: Marek Goebel

Fotografia na I stronie okładki: © Wiktor Hagen

Fotografia autora: z archiwum prywatnego autora

Wydawnictwo w.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka
Piaseczno, Żółkiewskiego 7A

ISBN 978-83-7747-295-8

Z RECENZJI
PIERWSZEGO TOMU
CYKLU:

W KSIĄŻCE **HAGENA** ROZPOZNAJEMY
WARSZAWĘ – PRAWIE TAK SAMO CIEKAWĄ
JAK W RZECZYWISTOŚCI. ZA KILKADZIESIĄT
LAT CZYTELNIK BĘDZIE ODNAJDYWAŁ W NIEJ
RESTAURACJE I BARY, WARSZAWSKIE TYPY
ANTROPOLOGICZNE I ATMOSFERĘ MIASTA.
STOLICĘ POLSKI W RÓŻNYCH EPOKACH
POZNAJEMY DZIĘKI PRUSOWI, OPPMANOWI,
ŻEROMSKIEMU I DOŁĘDZE-MOSTOWICZOWI.
TERAZ MAJĄ NASTĘPCĘ. NARESZCIE.
ŁUKASZ JASINA, KULTURALIBERALNA.PL



KOMISARZ NEM-HAUSER PRZED NAMI DRUGI POWRACA!

TOM KRYMINALNEGO CYKLU WIKTORA
HAGENA.

JEST PIĘKNA WIOSNA,
CAŁA POLSKA PRZYGOTOWUJE SIĘ DO WEEKENDU
MAJOWEGO, WSZYSCY ŻYJĄ ZBLIŻAJĄCYM SIĘ
WYJAZDEM...

ALE NIE KOMISARZ,
KTÓRY TYM RAZEM
NIGDZIE SIĘ NIE
WYBIERA. MUSI ZOSTAĆ
Z DZIEĆMI, GDYŻ JEGO
ŻONA PAULA WYLATUJE
NA KILKA DNI DO
AMSTERDAMU, BY
TAM UBIEGAĆ SIĘ
O ATRAKCYJNĄ POSADĘ.
Z NEM-HAUSEREM
NIESPODZIEWANIE
KONTAKTUJE SIĘ
DOROTA, DAWNA
KOLEŻANKA,
ŻONA PROFESORA
ARCHEOLOGII. TUŻ
PO WIZYCIE U NIEJ
KOMISARZ DOWIADUJE
SIĘ, ŻE ZOSTAŁ
ZAMORDOWANY ZNANY
DZIAŁACZ EKOLOGICZNY.

SPRAWA JEST
SKOMPLIKOWANA,

ŚLEDZTWO OD
POCZĄTKU TOCZY SIĘ
OSPALE.

NIE MIJA WIELE
CZASU, A NEMHAUSER
ODBIERA TELEFON OD
DOROTY, KTÓRA MÓWI,
ŻE JEJ MĄŻ NIE ŻYJE.
„TO WYGLĄDAŁO –
POWIEDZIAŁA WOLNO
– JAKBY ZABIŁ GO
GABINET”. I WTEDY
ROBI SIĘ NAPRAWDĘ
ZAGADKOWO...

W A B .
C O M .
P L

ydawnic
w
ab
two